

Sen nocy letniej, reż. Robert Czechowski, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego pod kierownictwem Roberta Czechowskiego otwiera nowy rozdział. Nowy etap otwiera *Snem nocy letniej* Szekspira w swojej reżyserii. Jeśli w tym kierunku podąża Lubuski Teatr – chapeau
!
bas

Takiego Szekspira potrzebowałem jak dobrego snu. Wyprawa w noc świętojańską trwa we mnie nadal.

Historia z krainy elfów pobudza wyobraźnię od wieków. Na kolorowym przeźroczu widzimy zgruzowany antyk. Szekspir ośmiesza (wszak to komedia) hegemonów, ojców, pewnych siebie zdobywców dam. W odpowiedzi na *Romea i Julię* tworzy uciekającą od patosu gdzie pieprz rośnie historyjkę o zbyt małych miłośkach i pozlepianym człowieku. Ludzie są marionetkami. Jeśli znikną wszechwładni ojcowie – na ich miejsce przyjdzie pokusa, sen i marazm. Tyle z „czystego” Szekspira. Czechowski wchodzi we współczesność. Nie ostentacyjnie, nie chorobliwie – podskórnie.

Spektakl zaczyna się przed wejściem do teatru. Odpowiedni nastrój buduje mroczna muzyka. Po wejściu zaczynają nas mijać i lustrować wzrokiem osobliwe, dziwacznie poubierane osoby. Czechowski zaraża spektaklem poza sceną. Przybyszu, wszedłeś w to i nie będziesz obojętny – tak zdają się mówić poruszające się, nieme postacie.

Cały spektakl podrysuje pulsacyjna muzyka. Mamy tu Beatlesów, Ryśka Riedla, Imany. Czego tu nie mamy? Szekspir, gdyby żył – nuciłby *She loves You, yeah, yeah, yeah*. Do tego – niepokojąca, wchodząca w głowę śrubokrętem – elektronika. Cała ta gama barw muzycznych zaserwowana nam przez Damiana Neogenn Lindnera współpracuje z przechodzącą w różne odcienie „metalurgiczną” scenografią. Już na plakacie spektaklu mogło zastanowić, co robią te zestawy poskręcanych rurek w wilgotnym od mchu świetle Szekspira. To w nich czają się przegródki naszej podświadomości. Z tych rurek, rureczek wychodzi pozlepiana i nieoczywista prawda o człowieku współczesnym. Czechowski wprowadza swoich bohaterów na „salony” dyskotek, zepsutych klubików i tanich gadżetów naszego odwiecznie konsumpcyjnego baroku. Barok Szekspira przechodzi tu w nasz, wylansowany, wylaszczony baroczek. Świetnie w grywają się w to aktorzy – rapujący, stepujący, „dżemujący” – Jerzy Kaczmarowski, Marek Sitarski, Wojciech Brawer, Łukasz Kucharzewski i Piotr Lizak. Lizak zasługuje na szczególne wyróżnienie – jego Demetriusz rechocze współczesnością (rap wierszem Szekspira to mistrzostwo), a jednocześnie realizuje plan angielskiego dramaturga – ośmiesza ludzkie błędzenie, miłoskowną małość. Do ról rzemieślników Czechowski zaprosił dwóch więźniów. Dobry trop do myślenia o teatrze. Nie chodzi tu tylko o aspekt terapeutyczny, natomiast o prawdę, jaka z ich twarzy wychodzi, naturalność, która świetnie wyśmiewa nadmuchany romantyzm. Szekspir w roli aktorów chciał widzieć przecież więźniów, stąd ten zabieg bynajmniej nie jest eksperymentalny, jest czysto ludzki. Dwie warstwy spektaklu – ta „nadrealna” wypełniona elfami (Królowa Tytania i król Elfów) i ta współczesna, złożona z „rzemieślników” nakładają się na siebie, przekładają swoje porządki i to dobrze odzwierciedla ruch na scenie. Uwspółcześniony przekład Stanisława Barańczaka wyznacza już normę w odkrywaniu Szekspira dla potomnych. Józef Paszkowski i jego „barok słowa” mogą dziś brzmieć wręcz groteskowo.

Aktorzy zielonogórscy bez zarzutu. Oprócz wspomnianego Lizaka, na uznanie zasługuje Tytania o twarzy Hanny Klepackiej. Jej soulowy głos i poskręcana od bólu twarz (Tytania porusza się na wózku inwalidzkim) oddają cierpienie, a zarazem uwalniają kobiecą czułość,

erotyzm i liryzm. Trudne to było zadanie, ale Klepacka podołała z nawiązką. Jej ciało tonące w konwulsjach niepostrzeżenie staje się siedliskiem namiętności podskakującej na wózku jak na miłosnym łożu. W jej postaci zawiera się zbiorowy głos samotnych, urzeczowionych kobiet, które pulsują zmysłowością, wznosząc ją na inny, wyższy poziom. Ernest Nita dobrze oddał niekonsekwencje Lizandra, a Marek Sitarski swoją swobodną grą spuszczał umiejętnie powietrze z próżnych deklaracji miłosnych. Łukasz Kucharzewski dosycał ten sen swoim niebanalnym głosem. Brawa dla muzyka z gitarą, dla którego chcielibyśmy zostać w teatrze do białego rana.

Metalurgia, która pełni tu rolę kratek świadomości, przypomina mi organy. Zamiast muzyki sakralnej słyszymy równie duchowe brzmienia. Ten koncert przechodzi jak iskra przez widzów i wprowadza ich w trans. Żyjemy w czasach, gdzie rolę snu zaczynają pełnić wszelkiego rodzaju „polepszacze”. Narkotykiem jest tu otoczenie muzyczne, z którego łatwo wyjść się nie daje. Próbowałem po spektaklu, nie było łatwo – jeszcze trzyma. Muzyka jest ucieczką w świat, gdzie jesteśmy inni. Jest atrybutem współczesnej duchowości, którą coraz trudniej zbudować w gąszczach naszego wieku. Na oczach ludzi zagnieździła się katarakta, która napędza życie, a jednocześnie cholernie boli. To właśnie w muzyce Czechowski zakorzenił widza *Snu nocy letniej*. Ona jest tu podskórnym leitmotivem. Z takim przeźroczem wchodzimy w nieświadomość. Gąszcz muzycznych różnorodności tka dla nas las z pewnej szekspirowskiej nocy. W takie gąszcze zaprasza nas Czechowski i mówi: zamknij oczy, spróbuj, zapomnij na chwilę.

Sen nocy letniej

z Zielonej Góry to metalurgiczna droga do punktu, z którego nie można się zbudzić, a trzeba. Rysiek Riedel śpiewał: „w życiu piękne są tylko chwile”. Tylko chwile. Trzeba się obudzić, aby oddychać.

Janusz Łastowiecki